

## Wojciech Stanisławski: Komu Nobla?

Rozważania wokół najsłynniejszej (choć ani najstarszej, ani nawet przynoszącej największe profity) nagrody literackiej świata należą do kalendarza jesiennych świeckich świąt wielkowiejskiego Zachodu równie naturalnie jak Halloween i Black Friday – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Testament Nobla i wynalazek wielkości”.

Rozważania wokół najsłynniejszej (choć ani najstarszej, ani nawet przynoszącej największe profity) nagrody literackiej świata należą do kalendarza jesiennych świeckich świąt wielkowiejskiego Zachodu równie naturalnie jak Halloween i Black Friday – tyle, że apogeum obchodów ma miejsce nieco wcześniej (pierwsza połowa października, na chwilę przed ogłoszeniem; dogrywka podczas ceremonii 10 grudnia) i jest zdecydowanie mniej szkodliwe.

Anonimowi *mediaworkerzy* zadawalają się zwykle przytoczeniem łożawej (i nieprawdziwej) historii o przemysłowcu trapionym wyrzutami sumienia z powodu rozpropagowania dynamitu, który postanowił zadośćuczynić światu, ustanawiając nagrodę: jest to w kategorii banałów prasowych godny odpowiednik określania narciarstwa mianem „białego szaleństwa”. Nieco wyżej stoi wspomnienie wielkich, którzy NIE otrzymali Nobla (to rozgrywane jest zwykle w dwóch kategoriach, krajowej i międzynarodowej, ewentualnie z rozbiciem na konkurencje, tj. poezję i prozę) oraz przypominanie „Noblistów,

których nikt dziś nie czyta” (pierwsze z brzegu przykłady: Pearl Buck, Bjørnstjerne Bjørnson). Pewnej wnikliwości wymaga wspomnienie tych, którzy aspirowali do Nobla przez lata: zwykle ambicje z tym związane są tym większe, im mniejsze widoki na innego rodzaju satysfakcje (komercyjne czy polityczne), stąd nad Wisłą nie milkną echa nadziei, jakie żywili na szwedzki laur Jarosław Iwaszkiewicz czy Jerzy Andrzejewski. Konkurencją mistrzowską, rzeczywiście obdarzoną sporą dawką ryzyka, jest typowanie we wrześniu kandydatów z szansami na laur (*noblabile*): oczywiście, można się od tego pytania wykpić żartem, wspominając „wiecznych kandydatów” (w Polsce obsadzony był w tej niefortunnej roli, aż do swej śmierci w 2021, Adam Zagajewski, w kategorii międzynarodowej dźwiga do dziś to brzemię Haruki Murakami).

## **Przeczytaj również: Niechciane wtajemniczenie – Wojciech Stanisławski o literaturze XXI wieku**

Warto na chwilę zdystansować się od tych rozważań, zadając sobie pytanie: co właściwie nagradzane jest podczas gali w budynku Filharmonii Sztokholmskiej? Oczywiście, nie „co”, lecz „kto”: pisarz, autor (warto podkreślić, że w odróżnieniu od Bookera czy Goncourtów nagroda przyznawana jest za całokształt dorobku). Dlaczego jednak właśnie on? I czy nagradzany jest tak naprawdę on/ona, tradycja literacka jego/jej kraju, czy zwrot, jaki za sprawą jego/jej dzieł dokonał się w literaturze? Czy to jednak znaczy, że w literaturze dokonuje się jakiś „postęp”, a kolejni nobliści są niczym kreski na prędkościomierzu, czy może boje, wytyczające szlak na jeziorze?

Pytanie o „postęp w literaturze” jest stare jak świat. Nagrodzie Nobla w dziedzinie literatury od kilku lat zaczęli jednak zadawać pytania nie tylko biografisci i historycy kultury, ale i literaturoznawcy, socjologzy i ekonomiści. Ci drudzy (w tym James F. English, autor „The Economy of Prestige: Prizes, Award and the Circulation of Cultural Value”, 2008; równie ciekawa jest praca Dominika Antonik, „Sława literacka albo nowe reguły sztuki” wydana w ubiegłym roku przez krakowski Universitas) dociekają, nazwijmy to, miejsca Nobla w „łańcuchu pokarmowym”: w jakim stopniu karmi się on sławą i charyzmą otaczającą autora już wcześniej, w jakim zaś ją współtworzy?

Dla nas jednak znacznie ciekawsze są dociekania „nowych literaturoznawców”, zadających pytania o historię przyznawanej od 124 lat nagrody: nie tylko jednak o oczywiste pomyłki, większe i mniejsze skandale, czy motywacje polityczne. W tej ostatniej kwestii, dodajmy, nikt chyba nie przeliczy nagród dla Rosjan: co nazwisko, to skandal, nie tylko emigracyjny Bunin (1933), dysydencki Pasternak (1958), *détente*’owy Szołochow (1965), moralistyczny Sołżenicyn (1970) i wygnany z Imperium Zła Brodski (1987): to również Noble NIEprzyznane Tołstojowi, Gorkiemu i Achmatowej. Czy doczeka nagrody Siergiej Lebediew?

Najważniejsze jednak pytanie, wokół którego krąży m.in. Paul Tengart w pracy „The Nobel Prize and the Formation of Contemporary World Literature”, wydanej rok temu w niszowej oficynie, która doczekała się już dwóch wznowień, brzmi: dlaczego Nobel przyznawany jest temu, a nie innemu twórcy? Jakimi kryteriami kieruje się Komitet Noblowski,

czyli osiemnaścioro członków Akademii Szwedzkiej? I co przemiany tych kryteriów (a nie tylko różnorodność nagradzanych mistrzów) mówią o współczesnym świecie?

Oczywiście, Tengart wiele uwagi poświęca nieuchronnym, grubym falsyfikacjom poznawczym: jurorzy nie znają wszak całości światowej „produkcji literackiej”, lecz kierują się w istotnym stopniu wskazówkami i rekomendacjami, które ma im prawo nadsyłać szereg instytucji akademickich na całym świecie, profesorowie (pełni) literatury i filologii, byli nobliści oraz osoby stojące na czele ogólnokrajowych stowarzyszeń i związków literackich. Liczba „nominatorów” wynosi w tej chwili około siedmiuset: proszę wyobrazić sobie przez chwilę skalę i wielość interesów, ambicji i „gier” podejmowanych w tym polu... Nic dziwnego, że nominacje pozostają niejawnie przez 50 lat: dopiero za pięć lat dowiemy się, kto najgoręcej wspierał Miłosza...

Drugi filtr: językowy. Część jurorów włada oczywiście biegle obcymi językami, z reguły jednak są to w najlepszym razie dwa czy trzy języki europejskie: czy jednak nie jest tak, że czytając, zwłaszcza „na akord”, a nie dla przyjemności, wolimy jednak czytać we własnym języku? Tak naprawdę więc bardzo poważnym kryterium jest istnienie przekładów (dodajmy: dobrych przekładów) na szwedzki, ewentualnie, w drugiej kolejności, na angielski. To bariera stylistyczna, językowa, ale i ekonomiczna: z pewnością państwa zamożne, którym zależy na sukcesach prestiżowych i wizerunkowych, są w stanie wysupłać na honoraria i druk kwoty pokaźne, na które nie zdobędą się kraje Południa, a tym bardziej „języki bez państwa”.

Założmy jednak przez chwilę, że te dwa ograniczenia (by nie rzec „deformacje”) nie mają miejsca. Że jurorzy posiadają głęboką i proporcjonalną znajomość dorobku literatury w kilkuset językach świata, w których powstają „poważne dzieła literackie”, albo przynajmniej proporcjonalną liczbę rekomendacji. Że dysponują stosowną liczbą przekładów na wyrównanym poziomie i przy pomocy dywizji wspierających ich lektorów zapoznają się z dorobkiem pisarskim, nie na zasadzie zerojedynkowej przy tym (przechodzi/odpada), lecz wieloszczeblowych eliminacji.

Czego szukają? Pisząc w jego pierwszych akapitach o komunałach używanych przez *mediaworkerów*, zapomniałem o dworowaniu sobie z formuły, użytej przez Alfreda Nobla w jego testamencie: nagrodę w dziedzinie literatury miało mianowicie otrzymywać „najbardziej wyróżniające się dzieło w kierunku idealistycznym”. Świetnie słyhać w tym zdaniu ducha *fin de siècle*, ale z ogólnikowości tej wskazówki podkpiwano sobie już wówczas: bo rzeczywiście, czym miałyby być w literaturze „kierunek idealistyczny”, jak sytuowałby się bodaj wobec naturalizmu i realizmu, nie mówiąc o wszystkich -izmach, jakie niósł XX wiek? Sądząc z listy laureatów, przestano się sugerować „kierunkiem idealistycznym” najdalej w trzeciej dekadzie wręczania nagrody, a z pewnością w latach kolejnych.

Paul Tengart postanowił się w tym zorientować biorąc na warsztat laudacje, wygłaszane podczas kolejnych uroczystości grudniowych. Oczywiście, są one pisane językiem nie tyle nawet akademickim, co podniosłym, trudno nieraz przedrzeć się przez bombastyczność sformułowań. A jednak zaobserwował pewną prawidłowość: w latach 1901-1920 najchętniej wychwalano „podniosłość” i „szlachetność”

nagradzanych dzieł. W kolejnym dwudziestoleciu (złota epoka modernizmu!) podziwiano „mistrzostwo”. W posiekanych gorącą i zimną wojną latami 1941-1960 – neutralny „talent” i zawsze cenioną „szlachetność”. W epoce dekolonizacji i dzieci-kwiatów (1961-1980) „lokalność” i „kolor”, ale już w dwadzieścia lat później (1981-2000) – „uniwersalizm doznań”. W XXI wieku, epoce plastiku i symulaków, najwyżej ceniony jest „autentyzm” i „zapis niepowtarzalnego doświadczenia”.

To by się po trosze zgadzało – można jednak zadać pytanie podobne temu, jakie stawiał Hłasko w „Pięknych dwudziestoletnich” dociekając, czy to filmowi policjanci w cywilu naśladują rzeczywistych, czy to jednak łapsy na służbie sugerują się tym, co zobaczyli w kinie? Czy, w przypadku „autentyzmu” i ucieczki od symulaków, jurorzy nagradzają to, co cenią – czy to, co jest na większą skalę obecne, a przynajmniej dostrzegalne, w literaturze i w kulturze?

Dodajmy: na ile jurorzy kierują się wyłącznie kryteriami estetyczno-etycznymi, takimi jak powyżej, na ile zaś ciąży na nich – nie, nawet nie polityka, lecz wyobrażenie sprawiedliwości: czy nie powinno się wyróżniać raczej literatury jeszcze nieozłoczonej Noblem? Czy sugerować się kryteriami gatunkowymi? A, jeśli już wyboru trzeba dokonać między literaturami najpotężniejszych (liczbą użytkowników i autorów) języków świata – chińskiego, angielskiego, hiszpańskiego – czy nie powinno się, bodaj dla uniknięcia zamieszek, stosować reguły *alternaty*, nie nagrodzić żadnego kraju dwukrotnie w jednej dekadzie. *Mon Dieu*, a przecież są jeszcze parytety...

## **Przeczytaj również: Dwie mowy o literaturze – Faulkner i Hemingway w Sztokholmie**

Czy coś wynika z tej pstrokaczyny, z zestawienia Llosy, Munro, Ishiguro i Dylana? Czy to ich właśnie powinniśmy czytać? Czy „biblioteka noblistów” (podobne przedsięwzięcia wydawnicze praktykowane są w wielu krajach) powinna stanowić fundament edukacji literackiej i od niej powinni zaczynać lekturę studenci filologii i aspirujący pisarze? Naprawdę? Żeby zasnąć nad Grazią Delledą? I kiedy w takim razie przeczytają Tołstoja? (I Herberta?)

Znów za Tengartem przywołam rozróżnienie na trzy kręgi Noblistów – które przyrównać by można do superligi, ekstraklasy i I ligi. Superliga – to ci, bez których nie można sobie wyobrazić współczesnej literatury, którzy raczej dodają Noblowi blasku niż w nim świecą. Tak, Beckett i Mann, i Faulkner. I inni, proszę dopisywać.

Ekstraklasa to wielcy – naprawdę wielcy, którzy zostali dostrzeżeni przez Akademię, dla których Nobel stał się *vehiculum*, dzięki któremu dotarli (albo dotrą) szerzej. I całe szczęście: Miłosz i Llosa, Bellow i Sachs.

I wreszcie pierwszoligowcy: pisarze wybitni i pracowici, którzy trafili na biurka jurorów i zostali „ozłoceni”: czasem, bo wyjątkowo dobrze współbrzmiali z nastrojami, ideami i emocjami współczesnego świata, czasem, bo wyjątkowo mocno zagrali na uczuciach lektorów, nie można wykluczyć, że czasem i za sprawą jakiejś finezyjnej gry, utkanej na lobbingu, „alternacie” czy długach wdzięczności, a raz czy drugi, zwłaszcza w pierwszych dekadach, pewnie i za sprawą przypadku.

Kto wie jednak, czy taki tryb znalezienia się w gronie nieśmiertelnych Wielkich Pisarzy nie jest lepszy, niż dostanie się tam w wyniku działania jakiegoś monstrualnego algorytmu, który spośród milionów autorów wskazywałby tego, który najbardziej przyczyni się do *diversity*, różnorodności grona laureatów? Obawiam się takiego algorytmu i znacznie bardziej podoba mi się chaos, przypadek i lobbying, które budują nam niedoskonały panteon *Weltliteratur*, zapisu wielu wrażliwości i głosów.

*Wojciech Stanisławski*

*fot. Joanna Borowska / Forum*

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”  
[504]: „Testament Nobla i wynalazek wielkości”**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---